



BERNARD  
*Cornwell*

WOJNY  
WIKINGÓW  
TOM XI



WOJNA  
WILKA



WOJNY  
WIKINGÓW  
TOM XI

WOJNA  
WILKA



B E R N A R D  
*Cornwell*

WOJNA  
WILKA

TEUMACZENIE  
JAKUB JEDLIŃSKI

  
OTWARTE  
KRAKÓW 2019

Tytuł oryginału: *War of the Wolf*

© Bernard Cornwell, 2018

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Jakub Jedliński

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter, Anna Jędrzejczyk

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i lamowanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek oraz rysunek na s. 340: Eliza Luty

ISBN 978-83-8135-011-2



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Pamięci mojego agenta i bliskiego przyjaciela  
Toby'ego Eady'ego (1941–2017)*

## SPIS TREŚCI

NAZWY GEOGRAFICZNE / 9

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Dzikię ziemie* / 13

CZĘŚĆ DRUGA

*Święto Eostre* / 219

CZĘŚĆ TRZECIA

*Twierdza orłów* / 339

NOTA HISTORYCZNA / 481

## NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem *Lundonii*, *Lundenbergu*, *Lundenne*, *Lundene*, *Lundenwicu*, *Lundenceasteru*, a także *Lundres*. Bez wątpienia znajdą się czytelnicy będący zwolennikami innych wariantów nazw aniżeli te, których zdecydowałem się użyć w powieści\* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899, lub możliwie mu najbliższego. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Na przykład w 956 roku nazwa Hayling zapisywana była zarówno jako *Heilincigae*, jak i *Haeglingaiggae*.

---

\* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora *Lundene*. Ten sam zabieg zastosowano w przypadku Tamizy (w dosłownym tłumaczeniu: rzeka *Temes*). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Przyznaję, że i ja nie zawsze byłem wierny przyjętemu kluczowi: woląłem posługiwać się nazwą Northumbria zamiast Nordhymbralond, by uniknąć posądzenia o to, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa były zbieżne ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego prezentowaną tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BEREWIC	Berwick-upon-Tweed, hrabstwo Northumberland
BRUNANBURH	Bromborough, hrabstwo Cheshire
CAIR LIGUALID	Carlisle, Kumbria
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
CONTWARABURG	Canterbury, hrabstwo Kent
DUNHOLM	Durham, hrabstwo Durham
DYFLIN	Dublin, Irlandia
EOFERWIC	York, hrabstwo Yorkshire (pod duńskimi rządami przemianowany na Jorvik)
FAGRANFORDA	Fairford, hrabstwo Gloucestershire
GLEAWECESTRE	Gloucester, hrabstwo Gloucestershire
HEAGOSTEALDES	Hexham, hrabstwo Northumberland
HEAHBURH	fikcyjna nazwa dawnego rzymskiego fortu, Whitley Castle, Kumbria
HEDENE	rzeka Eden, Kumbria
HUNTANDON	Huntingdon, hrabstwo Cambridgeshire
HWITE	Whitchurch, hrabstwo Shropshire
IRTHINAM	rzeka Irthing
LINDCOLNE	Lincoln, hrabstwo Lincolnshire



LINDISFARENA	Lindisfarne (Holy Island – Święta Wyspa), stanowi część hrabstwa Northumberland
MAEDLAK	rzeka Medlock
MAERSE	rzeka Mersey
MAMECEASTER	Manchester
MONEZ	wyspa Anglesey, Walia
OSTROGA	fikcyjna nazwa fortu na Wale Hadriana, Birdoswald, Kumbria
RIBBEL	rzeka Ribble
RIBELCASTRE	Ribchester, hrabstwo Lancashire
SUMORSAETE	Somerset
TAMEWORTHIG	Tamworth, hrabstwo Staffordshire
TINE	rzeka Tyne
USE	rzeka Ouse, hrabstwo Yorkshire
WEVERE	rzeka Weaver, hrabstwo Cheshire
WILTUNSCIR	hrabstwo Wiltshire
WINTANCEASTER	Winchester, hrabstwo Hampshire
WIRHEALUM	półwysep Wirral, hrabstwo Cheshire

**CZĘŚĆ PIERWSZA**

# **DZIKIE ZIEMIE**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie poszedłem na pogrzeb Aethelflaed.

Została pochowana w Gleawecestre, w tej samej krypcie co jej mąż, którego nienawidziła.

Głównym żalobnikiem był jej brat, król Edward z Wessexu, a gdy ceremonia dobiegła końca i ciało władczyni zamurowano, pozostał on w Gleawecestre. Nad pałacem, w miejscu flagi Aethelflaed opatrzonej dziwnym godłem – gęsią, łopotał sztandar ze smokiem Wessexu. Trudno wyobrazić sobie bardziej jednoznaczny przekaz. Mercja przestała istnieć. Wszystkie ziemie na południe od Northumbrii i na wschód od Walii należały teraz do jednego królestwa i władał nimi jeden król. Edward posłał mi pismo, w którym żądał, abym udał się do Gleawecestre i złożył mu hold z ziem posiadanych w dawnej Mercji. Dokument podpisany był jego imieniem oraz słowami „*Anglorum Saxonum Rex*” – król Anglów i Sasów. Zignorowałem to wezwanie.

Jeszcze tego samego roku otrzymałem kolejny dokument, tym razem podpisany i zapieczętowany w Wintanceasterze. Głosił on, że z łaski Boga ziemie nadane mi w Mercji przez Aethelflaed zostały skonfiskowane na rzecz biskupstwa

Herefordu. Zapewniano mnie, że wykorzysta ono te dobra ku większej chwale Boga.

– To znaczy, że biskup Wulfheard będzie miał więcej srebra na swoje dziwki – powiedziałem do Eadith.

– Może powinieneś pojechać do Gleawecestre? – zasugerowała.

– Żeby złożyć hold Edwardowi? – wycodziłem imię władcy. – Nigdy. Nie potrzebuję Wessexu, a Wessex nie potrzebuje mnie.

– Co więc zamierzasz zrobić w sprawie ziem? – zapytała.

– Nic – odparłem. – Cóż mogę zrobić? Iść na wojnę z Wessexem?

Złościło mnie, że należące do mnie posiadłości przypadną mojemu zaprzysięgiemu wrogowi, biskupowi Wulfheardowi, ale nie potrzebowałem ziem w Mercji. Miałem Bebbanburg. Byłem northumbryjskim lordem, nic więcej nie było mi potrzebne do szczęścia.

– Czemuż miałbym cokolwiek robić? – burknąłem. – Jestem stary i nie potrzebuję kłopotów.

– Nie jesteś stary – odparła z oddaniem.

– Ależ tak – upierałem się. Miałem ponad sześćdziesiąt lat. Byłem wiekowy.

– Nie wyglądasz staro.

– A zatem Wulfheard będzie mógł chędożyć swoje dziwki i pozwoli mi umrzeć w spokoju. Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzę Wessex albo Mercję.

A jednak rok później znalazłem się w Mercji na grzbiecie Tintrega, mojego najbardziej niezłomnego ogiera, w helmie i kolczudze, z Oddechem Węża przypasanym do lewego boku. Moją ciężką, okutą żelazem tarczę niósł służący

Rorik, a za nami podążało dziewięćdziesięciu ludzi, wszyscy w zbrojach i na koniach bojowych.

– Słodki Jezu – odezwał się jadący obok mnie Finan. Patrzył na wrogów zebranych w dolinie poniżej. – Drani jest ze czterystu? – Zamilkł na chwilę. – Co najmniej czterystu. Może pięciuset?

Nic mu nie odpowiedziałem.

Było późne zimowe popołudnie. Panował przenikliwy ziąb. Powietrze wydychane przez wierzchowce tworzyło mgiełkę pośród bezlistnych drzew rosnących na łagodnym wzniesieniu, z którego obserwowaliśmy nieprzyjaciół. Słońce było przygaszone i ukryte za chmurami, co oznaczało, że nie musieliśmy się obawiać, iż naszą obecność zdradzi światło odbijające się w kolczugach lub broni. Na prawo ode mnie, na zachodzie, widziałem płytką i szarą rzekę Dee. Poniżej wzniesienia obozowali wrogowie, a w oddali stał Ceaster.

– Pięciuset – stwierdził Finan.

– Nigdy bym nie pomyślał, że znów ujrzę to miejsce – zauważyłem. – Nie miałem nawet takiego zamiaru.

– Zniszczyli most – powiedział Finan, patrząc na południe.

– A ty nie zrobiłbyś tego samego?

Tym miejscem był Ceaster, a nasi wrogowie oblegali miasto. Większość z nich stacjonowała na wschód od murów miejskich, ale ogniska obozowe sięgały aż do ich północnych krańców. Rzeka Dee toczyła swoje wody na południe od miasta, w stronę ujścia do morza – niszcząc środkowe przęsło rzymskiego mostu, napastnicy odcięli Ceaster od posiłków mogących nadejść z południa. Niewielki garnizon,

chcąc wydostać się z pułapki, musiałby więc zmierzyć się z przeciwnikami na północy albo wschodzie, gdzie skoncentrowali największe siły. A garnizon miejski był nieliczny. Powiedziano mi – choć były to tylko domysły – że składał się z mniej niż setki ludzi.

Finan musiał myśleć o tym samym.

– I pięciuset ludzi nie jest w stanie zająć miasta? – zapytał kpiąco.

– Niemal sześciuset? – zasugerowałem niepewnie.

Trudno było oszacować liczebność wrogich wojsk, ponieważ obozowiska oblegających w dużej części zapelniały kobiety i dzieci, wydawało mi się jednak, że obliczenia Finana są zaniżone. Tintreg pochylił leb i parsknął. Poklepałem go po szyi, a potem dotknąłem rękodojeści Oddechu Węża na szczęście.

– Nie chciałbym oblegać tych murów – zauważyłem.

Obwarowania Ceasteru wzniesli Rzymianie, a oni byli dobrymi budowniczymi. Niewielki garnizon miejski był dobrze dowodzony – pomyślałem. Udało mu się odeprzeć wcześniejsze szturm, wrogowie musieli więc zacząć obłężenie, żeby wziąć miasto głodem.

– A zatem co robimy? – zapytał Finan

– Cóż... przebyliśmy długą drogę – odparłem.

– I?

– I szkoda byłoby rezygnować z walki. – Spojrzałem na miasto. – Jeśli to, co nam powiedziano, jest prawdą, to nieszczęśnicy w mieście zaczęli już zjadać szczury. A oni? – Wskazałem na ogniska. – Są zmarznięci, znudzeni i mają dość tego miejsca. Posmakowali krwi podczas ataku na mury, teraz więc po prostu czekają.

Dostrzegłem solidne barykady, które oblegający ustawili przed północną i wschodnią bramą Ceasteru. Strzegły ich najlepsze oddziały wroga, aby uniemożliwić garnizonowi wyjście lub ucieczkę z miasta.

– Są zmarznięci – powtórzyłem. – Znudzeni i beużyteczni.

Finan się uśmiechnął.

– Beużyteczni?

– Większość z nich pochodzi z fyrdu – odrzekłem.

Fyrd to armia składająca się z rolników, pasterzy, prostych ludzi. Bywają oni odważni, ale wyszkoleni konni wojownicy, jak dziewięćdziesięciu zbrojnych, których prowadziłem, są znacznie skuteczniejsi w walce.

– Beużyteczni – powtórzyłem. – I głupi.

– Głupi? – zdziwił się Berg, jadący na swoim ogierze nieco za nami.

– Nie ma tu żadnych straży. Nie powinni pozwolić nam podejść tak blisko. Nie mają bladego pojęcia, że tu jesteśmy. A za głupotę płaci się życiem.

– Taka głupota mi się podoba – stwierdził Berg.

Był młodym i dzikim Norwegiem i nie bał się niczego – z wyjątkiem dezaprobaty swojej świeżo poślubionej saskiej żony.

– Zostały jeszcze ze trzy godziny do zachodu słońca – rzucił Finan.

– Nie zmarnujmy ich.

Zawróciłem Tintrega i powiodłem swoich wojowników między drzewami do traktu prowadzącego z fortu Maerse do Ceasteru. Droga przywołała wspomnienia o zmaganiach z Ragnallem i śmierci Haestena, a teraz prowadziła mnie do kolejnej walki.

Zjeżdżając z długiego, łagodnego zbocza, nie wyglądaliśmy groźnie. Nie spieszyło się nam. Poruszaliśmy się tak, jakbyśmy po długiej podróży docierali do celu – co było prawdą. Miecze trzymaliśmy w pochwach, a włócznie związane w pękach jechały na koniach juczych prowadzonych przez służących. Wrogowie z pewnością ujrzeli nas niemal natychmiast po wyłonieniu się z lasu porastającego szczyt wzgórza. Ale byliśmy nieliczni, ich było wielu, a nasz brak pośpiechu sprawiał wrażenie, że mamy pokojowe zamiary. Wysokie kamienne mury miejskie ogarnął już mrok, ale byłem jeszcze w stanie dostrzec wiszące na nich sztandary. Widniały na nich chrześcijańskie krzyże, które przypomniały mi biskupa Leofstana, świętego szaleńca i dobrego człowieka, którego Aethelflaed wybrała na biskupa Ceasteru. Wzmocniła też i obsadziła garnizonem to miasto-fortecę, które stało się bastionem broniącym wstępu Norwegom i Duńczykom przybywającym zza Morza Irlandzkiego, by na saskich ziemiach polować na niewolników.

Aethelflaed była córką króla Alfreda i władczynią Mercji. Teraz nie żyła. Jej ciało rozkładało się w zimnej kamiennej krypcie. Wyobrażałem sobie jej martwe ręce ściskające krucyfiks w odrażających, grobowych ciemnościach, wspominając, jak te same dłonie drapały mnie po plecach, kiedy wiała się pode mną.

– Boże, wybacz mi – mówiłaby. – Nie przestawaj!

A teraz sprowadziła mnie do Ceasteru.

Oddech Węża miał znów zabijać.



Wessexem rządził Edward, brat Aethelflaed. Pozwolił siostrze rządzić w Mercji, lecz po jej śmierci wysłał zachodniosaskie oddziały na terytoria rozciągające się na północ od Tamizy. Wojownicy przybyli – jak twierdził – aby oddać cześć zmarłej władczyni, ale po pogrzebie zostali, by narzucić rządy Edwarda królestwu Aethelflaed. Edward, *Anglorum Saxonum Rex*.

Panowie mercyjscy, którzy mu się podporządkowali, zostali nagrodzeni, ale niektórzy żywili urazę do Sasów zachodnich. Mercja była dumnym krajem. Niegdyś jej król był najpotężniejszym spośród wszystkich władców Brytanii. Później przybyli Duńczycy i Mercja padła. To Aethelflaed odzyskała te ziemie, wyparła pogan na północ i wzniosła burhy strzegące granicy. Aethelflaed umarła, jej ciało rozkładało się w grobie, a oddziały Edwarda obsadziły wały burhów, król Wessexu obwołał się władcą wszystkich Sasów i żądał srebra na opłacenie garnizonów, konfiskował dobra niechętnym mu panom i nadawał je swoim ludziom albo Kościołowi. Zawsze Kościołowi, albowiem księża w swoich kazaniach rozgłaszali wśród Mercjan, że Edward z Wessexu został królem ich ziemi z woli ukrzyżowanego, więc sprzeciwianie się władcy jest równoznaczne ze sprzeciwianiem się ich bogu.

Strach przed ukrzyżowanym nie zapobiegł jednak buntowi i zaczęła się wojna. I tak Sasi stanęli przeciw Sasom, chrześcijanie przeciw chrześcijanom, Mercjanie przeciw Mercjanom i przeciw Sasom zachodnim. Buntownicy powstali pod sztandarem Aethelflaed, oznajmiając, że wolą władczyni było, aby na tronie zasiadła jej córka. Aelfwynn królową Mercji! Lubilem ją, ale miała takie

same predyspozycje do rządzenia jak do polowania na niedźwiedzie z oszczepem. Była kapryśna, frywolna, ładna i nieodpowiedzialna. Edward, wiedząc, że siostrzenicę wyznaczono na następczynię tronu, zadbał więc o to, żeby została zamknięta w klasztorze razem z jego oddaloną z dworu żoną, ale powstańcy nadal obnosili się z flagą jej matki i walczyli w jej imieniu.

Dowodził nimi Cynlaef Haraldson, zachodniosaski wojownik, którego Aethelflaed chciała ożenić z córką. Prawda wyglądała oczywiście tak, że Cynlaef sam pragnął zostać królem Mercji. Był młody, przystojny, odważny na polu walki i – moim zdaniem – głupi. Za punkt honoru postawił sobie uwolnienie narzeczonej z klasztoru i zdobycie korony.

Najpierw jednak musiał zdobyć Ceaster. A to mu się nie udało.

– Czuję, że spadnie śnieg – odezwał się Finan, kiedy podążaliśmy na południe w stronę miasta.

– O tej porze roku śnieg już nie pada – odparłem z przekonaniem.

– Czuję to w kościach – odrzekł. – Zacznie padać przed zapadnięciem zmroku.

– Stawiam dwa szylingi, że nie – zakpiłem.

Zaśmiał się.

– Boże, ześlij mi więcej głupców ze srebrem! Moje kości nigdy się nie mylą.

Finan był Irlandczykiem, moim zastępcą i najbliższym przyjacielem. Jego twarz, obramowana stalowym hełmem, była pomarszczona i stara, a broda siwa. Moja zapewne

także. Patrzyłem, jak poluzowywał Złodzieja Dusz w pochwie i kierował wzrok w stronę obozowych ognisk przed nami.

- Więc co robimy? - zapytał.
- Przepędzimy drani ze wschodniej strony miasta.
- Aż się od nich roi.

Szacowałem, że niemal jedna trzecia sił wroga skupiła się po wschodniej stronie Ceasteru. Ziemia była tam usiana ogniskami palącymi się pośród niewielkich szalasów z gałęzi i torfu. Na południe od tych prowizorycznych schronień, w pobliżu ruin starożytnej rzymskiej areny stało kilkanaście bogatych namiotów. Mimo że antyczną budowlę wykorzystywano jako kamieniołom, nadal górowała nad namiotami, nad którymi nieruchomo unosiły się w bezwietrznym powietrzu dwie flagi.

- Jeśli Cynlaef nadal tu jest, musi przebywać w jednym z tych namiotów - powiedziałem.
- Miejmy nadzieję, że drań się upił.
- Albo jest na arenie.

Została wzniesiona tuż za miastem i była kamiennym kolosem. Za ławami znajdowały się przypominające pieczary sale, które - kiedy je eksplorowałem - służyły za schronienie zdziczałym psom.

- Jeśli ma odrobinę rozumu - ciągnąłem - nie bierze udziału w oblężeniu. Zostawił swoich ludzi, żeby wzięli miasto głodem, a sam pojechał na południe. To tam zdecydują się losy buntu, nie tu.

- Tylko czy on ma rozum?
- Jest głupi jak but - odparłem i się roześmiałem. Na nasz widok grupa kobiet objuczonych chrustem zesła

z drogi, żeby uklęknąć. Patrzyły na mnie ze zdumieniem. Wskazałem je ręką.

– Niektóre z nich uczynimy wdowami – zauważyłem ze śmiechem.

– I to ma być śmieszne?

Spiąłem Tintrega ostrogami do truchtu.

– Śmieszne jest to, że jesteśmy dwoma starcami, którzy wybierają się na wojnę.

– Mów o sobie – odciął się Finan.

– Jesteś moim rówieśnikiem!

– Ale nie jestem dziadkiem!

– Może jesteś. Nie wiesz tego.

– Bękarty się nie liczą.

– A właśnie że tak – upierałem się.

– W takim razie ty pewnie jesteś już pradziadkiem.

Rzuciłem mu srogie spojrzenie.

– Bękarty się nie liczą – odburknąłem, a on się roześmiał, po czym zrobił znak krzyża, bo dotarliśmy do rzymskiego cmentarzyska, które rozciągało się po obu stronach drogi.

To było miejsce nawiedzone przez duchy krążące między porośniętymi mchem kamieniami nagrobnymi, które były pokryte zanikającymi inskrypcjami zrozumiałymi tylko dla znających łacinę chrześcijańskich księży. Wiele lat temu w szale gorliwości pewien klecha zaczął przewracać nagrobki, twierdząc, że są to pogańskie plugastwa. Jeszcze tego samego dnia wyzionął ducha. Od tamtej pory chrześcijanie tolerowali te groby, których moim zdaniem strzegli rzymscy bogowie. Biskup Leofstan śmiał się, kiedy opowiedziałem mu tę historię, i zapewniał, że Rzymianie byli dobrymi chrześcijanami. „To nasz Bóg, jedyne prawdziwy,

zglądził tego księdza” – twierdził. Wkrótce Leofstan zmarł równie nagle jak ów nienawidzący antycznych grobów duchowny. *Wyrd bið ful ārcæd.*

Moi ludzie jechali teraz gęsiego, w niemal równym rzędzie. Nikt nie chciał zbyt zbliżyć się do skraju traktu, bo tam zbierały się duchy. Długa, przerywana kolumna jeźdźców czyniła z nas łatwy cel ataku, ale wrogowie zdawali się nie dostrzegać zagrożenia z naszej strony. Minęliśmy kolejne kobiety uginające się pod ciężarem drewna opałowego, które nacięły w zagajniku położonego na północ od cmentarza. Popołudniowe słońce bledło, choć do zmierzchu została jeszcze godzina albo więcej. Dostrzegłem mężczyzn na północnym murze, ich włócznie, i wiedziałem, że nas obserwują. Myśleli pewnie, że przybywamy na pomoc napastnikom.

Ściągnąłem wodze tuż za rzymskim cmentarzem, żeby moi ludzie mogli do mnie dołączyć. Groby i wspomnienie biskupa Leofstana przywiodły mi na myśl przeszłość.

– Pamiętasz Mus? – zapytałem Finana.

– Chryste? Czy można ją zapomnieć? – odparł z szerokim uśmiechem. – Czy ty... – zaczął.

– Nigdy. A ty?

Pokręcił głową.

– Za to twój syn kilka razy ją ujeżdżał.

Uhtred został na czele oddziału strzegącego Bebbanburga.

– Szczęściarz z niego – powiedziałem. Mus, której prawdziwe imię brzmiało Sunngifu, była drobną jak myszka kobietą, żoną biskupa Leofstana. – Ciekawe, gdzie ona teraz się podziewa. – Nadal obserwowałem północny mur

Ceasteru, starając się oszacować, ilu obrońców go strzeże. – Więcej niż się spodziewałem – zauważyłem.

– Więcej?

– Ludzi na murach – wyjaśniłem.

Dostrzegłem przynajmniej czterdziestu zbrojnych, a wiedziałem, że co najmniej taka sama liczba ludzi strzeże miasta od wschodu, gdzie zebrały się znaczne siły wroga.

– Może otrzymali wsparcie? – zastanawiał się Finan.

– Albo mnich się pomylił, co by nie było takie dziwne.

Pewien zakonnik przybył do Bebbanburga z wiadomością o oblężeniu Ceasteru. Oczywiście wiedzieliśmy, że w Mercji wybuchł bunt, i przyjęliśmy te wieści z radością. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Edward, który zaczął się tytułować królem Anglów i Sasów, zamierza najechać Northumbrię i w ten sposób uprawomocnić tę arogancką tytulaturę. Sigtryggr, mój zięć i władca Northumbrii, też się tego obawiał i szykował do odparcia ataku. Wtedy nadeszły wieści o rebelii, która doprowadziła do rozbitcia Mercji. Okazało się, że Edwardowi nie w głowie teraz najeżdżanie naszego królestwa, bo musi walczyć o utrzymanie swoich nowych ziem. Nasza reakcja była oczywiście – nic nie robić! Pozwolić królestwu Edwarda rozpaść się na strzępy, gdyż każdy saski wojownik, który zginął w Mercji, oznaczał jednego mniej zbrojnego zagrażającego Northumbrii.

A jednak znalazłem się pod Ceasterem, w to późne zimowe popołudnie, pod ciemniejącym niebem zmierzając do walki. Sigtryggr nie był z tego zadowolony, a jego żona – moja córka – jeszcze mniej.

– Dlaczego? – zapytała.

– Złożyłem przysięgę – odparłem i to zamknęło im usta.

Przysięga to świętość. Złamanie jej sprowadza gniew bogów, więc Sigtryggr niechętnie pozwolił mi jechać do Mercji. Co nie znaczy, że mógł wiele zdziałać, żeby mnie zatrzymać. Byłem jego najpotężniejszym lordem, teściem i panem Bebbanburga. W istocie to dzięki mnie zdobył koronę, nalegał jednak, żebym wziął ze sobą mniej niż stu wojowników. „Jeśli zabierzesz więcej – mówił – ci cholerni Szkoci podejną pod granicę”. Zgodziłem się. Powiodłem na południe dziewięćdziesięciu mężów i z nimi zamierzałem ocalić nowe królestwo Edwarda.

– Myślisz, że Edward będzie ci wdzięczny? – zapytała córka, starając się znaleźć jakąś dobrą stronę mojej pokrętej decyzji. Myślała, że Edward z wdzięczności da się przekonać do porzucenia planów najazdu na Northumbrię.

– Edward uzna mnie za głupca.

– Bo nim jesteś! – odparła Stiorra.

– Poza tym słyszałem, że jest chory.

– To dobrze – powiedziała mściwie. – Pewnie to ta nowa żona go wykończyła.

Edward nie będzie mi wdzięczny – pomyślałem – bez względu na przebieg wypadków. Kopyta naszych koni głośno uderzały o rzymską drogę. Nadal jechaliśmy powoli, nie okazując strachu. Minęliśmy stary, zniszczony słup, który głosił, że od miasta Deva – jak Rzymianie nazywali Ceaster – dzieli nas mila. Znaleźliśmy się pośród szalasów i ognisk, ludzie na nas patrzyli. Nie okazywali zaniepokojenia, nie dostrzeżliśmy też straży i nikt nie stanął nam na drodze.

– Co z nimi? – burknął do mnie Finan.

– Sądzą, że to posiłki nadchodzą – odrzekłem. – Przyjdą ze wschodu, nie z północy. Są więc przekonani, że jesteśmy po ich stronie.

– A zatem są głupcami – stwierdził.

I oczywiście miał rację. Cynlaef, jeśli nadal tu dowodził, powinien wysyłać strażę do każdego, kto zbliżał się do obozu jego ludzi, ale długie, zimne miesiące oblężenia sprawiły, że rebelianci stali się gnuśni i nieuważni. Cynlaef pragnął tylko zdobyć Ceaster i zapomniał oglądać się za siebie.

Finan, który miał sokoli wzrok, wpatrywał się w obwarowania miejskie.

– Ten mnich gówno wiedział – warknął pogardliwie Finan. – Widzę pięćdziesięciu ośmiu ludzi na północnym murze.

Zakonnik, który przyniósł wieści o oblężeniu, był pewien, że garnizon jest bardzo niewielki.

– Ilu liczy wojowników? – zapytałem.

– Nie więcej niż stu, panie – odparł.

Spojrzałem na niego sceptycznie.

– Skąd wiesz?

– Ksiądz mi powiedział, panie – wyjaśnił nerwowo.

Brat Osric twierdził, że przybył z klasztoru w Hwite. Nigdy nie słyszałem o tym miejscu, ale mnich zapewniał, że znajduje się ono kilka godzin od Ceasteru. Opowiedział nam o tym, jak ksiądz dotarł do jego klasztoru.

– Był umierający, panie! Miał boleści w trzewiach.

– To był ojciec Swithred?

– Tak, panie.

Znałem Swithreda. Był to starszy mężczyzna, gwałtowny i zgorzkniały klecha, który mnie nie znosił.



- I garnizon posłał go po pomoc?
- Tak, panie.
- Nie posłali wojownika?
- Duchowny przejdzie tam, gdzie nie uda się to wojownikowi – wyjaśnił Osric. – Ojciec Swithred wyszedł z miasta nocą i przeszedł obozowisko wrogów. Nikt nie stanął mu na drodze, panie. Następnie poszedł na południe do Hwite.
- Gdzie zachorował?
- Gdzie umierał, kiedy wyjeżdżałem, panie. – Brat Osric się przeżegnał. – Tak wola Boga.
- Wasz bóg ma dziwną wolę – burknąłem.
- Ojciec Swithred błagał mojego opata, by wysłał jednego z nas do ciebie – ciągnął zakonnik. – I oto jestem – zakończył niepewnie. Rzucił się przede mną na klęczki, a ja zobaczyłem głęboką czerwoną ranę przecinającą jego tonsurę.
- Ojciec Swithred nie cierpiał mnie i nienawidził wszystkich pogan – powiedziałem. – A jednak posłał po mnie?
- To pytanie wprawilo brata Osrica w zakłopotanie. Oblał się rumieńcem, a potem zaczął jąkać.
- On... on...
- Obrzucał mnie obelgami? – odpowiedziałem mu.
- Tak, panie. Tak – potwierdził z ulgą to, co nie mogło przejść mu przez usta. – Ale rzekł też, że spełnisz prośbę garnizonu.
- I nie napisał listu? – dopytywałem się. – Błagania o pomoc?
- Ależ tak, panie, lecz na niego zwymiotował. – Skrzywił się, wypowiadając te słowa. – Krwią i żółcią, panie.

- Skąd masz tę bliznę?
- Siostra mnie uderzyła, panie. - Wydawał się zaskoczony moim pytaniem. - Sierpem, panie.
- A jakimi siłami dysponuje wróg?
- Ojciec Swithred mówił, że są ich setki, panie. - Przypomniałem sobie nerwowość brata Osrica, ale złożyłem ją na karb spotkania ze mną, słynnym poganinem. Może myślał, że mam rogi i rozwidlony ogon? - Z Bożej woli - ciągnął - garnizon zdołał odeprzeć jeden szturm i dziękuję Bogu, że miasto jeszcze nie upadło. Jego mieszkańcy błagają cię o pomoc, panie.
- Dlaczego Edward im nie pomoże?
- On musi stawić czoło innym wrogom. Prowadzi walki na południu. - Mnich spojrział na mnie błagalnie. - Proszę, panie! Garnizon nie da rady długo się bronić.

A jednak dał radę, my tymczasem przybyliśmy. Zjechaliśmy z drogi i nasze wierzchowce powoli szły przez obozowisko wroga. Ci, którzy mieli najwięcej szczęścia, znaleźli schronienie w rzymskich zabudowaniach gospodarczych. To były porządne kamienne budynki, teraz przykryte niechlujnymi wiązkami strzechy. Większość zajmowała jednak prowizoryczne szalasy. Kobiety podtrzymywały ogień świeżo przyniesionym drewnem i szykowały stawę na wieczorny posiłek. Nie zareagowali na nasze przybycie. Widzieli kolczugi, zwieńczone srebrem hełmy, zdobioną srebrem uzdę Tintrega, rozpoznali więc we mnie pana i z uszanowaniem klękali, kiedy przejeżdżałem, ale nikt nie śmiał zapytać, kim jestem.

Zatrzymałem się na polanie od północno-wschodniej strony miasta. Rozejrzałem się wokół zadziwiony niewielką

liczbą koni. Oblegający muszą mieć wierzchowce. Zamierzałem je uprowadzić, żeby uniemożliwić wrogom ucieczkę, a także pokryć koszty tej zimowej wyprawy, ale dostrzegłem ich zaledwie kilkanaście. Brak koni oznaczał naszą przewagę, zawróciłem więc Tintrega i poprowadziłem go między swoimi ludźmi do koni jucznych.

– Rozpakować włócznie – wydałem rozkaz.

Wieżliśmy ze sobą osiem okazałych pęków włóczni obwiązanych rzemieniami. Każda mierzyła około siedmiu stóp, miała jesionowe drzewce i ostry, stalowy grot. Poczekalem do czasu, aż pęki zostały rozwiązane i każdy wojownik otrzymał broń. Większość z nich niosła tarcze, ale kilku wołało podróżować bez tych ciężkich osłon z drewna wierzby. Wrogowie pozwolili nam wjechać do środka obozowiska i musieli widzieć, że moi ludzie się zbroją, a jednak tylko tępo na nas patrzyli. Kiedy pacholki zwinęli rzemienie, dosiadłem konia.

– Chłopcy – zawołałem do służących – jedźcie na wschód i czekajcie na polu, aż po was poślę. Ty nie, Roriku.

Rorik był moim sługą, dobrym chłopakiem. Norwegiem. Zabiłem jego ojca, wziąłem do niewoli chłopca, a teraz traktowałem jak syna, tak samo jak Ragnar Starszy traktował mnie, gdy jego ludzie zabili mojego ojca na polu bitwy.

– Ja nie, panie? – upewnił się Rorik.

– Ty pojedziesz ze mną, trzymaj róg w gotowości. Jedź za mną. Nie potrzebujesz włóczni.

Podniósł broń.

– To włócznia dla ciebie, panie.

Oczywiście kłamał, nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł użyć broni.

– Nie daj się zabić, głupcze – burknąłem na niego i poczekałem, aż służący i konie juczne znajdą się na obrzeżu obozowiska.

– Wiecie, co macie robić – krzyknąłem do swoich ludzi. – Więc zróbcie to.

I tak się zaczęło.

Utworzyliśmy szereg i ruszyliśmy naprzód.

Dym z ognisk gryzł w oczy. Szczekał pies, płakało dziecko. Trzy kruki leciały na wschód, ich czarne skrzydła odcinały się od szarych chmur i zastanawiałem się, jaki jest to omen. Dotknąłem ostrogami boków Tintrega, a on skoczył naprzód. Finan jechał po mojej prawej stronie, Berg po lewej. Wiedziałem, że obaj mnie ochraniają, i miałem im to za złe. Może byłem stary, ale nie słaby. Obniżyłem grot włóczni, ścisnąłem Tintrega kolanami, a potem wychyliłem się w siodle i wbilem ostrze w ramię wroga. Kiedy poczułem, że uderza o kość, osłabiłem nacisk. Mężczyzna odwrócił się w moją stronę, w jego oczach ujrzałem ból i zdumienie. Nie zamierzałem go zabić, jedynie przerazić. Minąłem go, poczułem szarpnięcie ostrza, pociągnąłem za włócznię, podniosłem ostrze i patrzyłem na panikę ogarniającą obóz.

Wyobraź sobie, że jesteś zmarznięty, znużony i głodny. Może też osłabiony chorobą – obozowisko cuchnie gównem. Dowódcy opowiadają ci wyłącznie kłamstwa. Jeśli mają jakiś pomysł, jak zakończyć oblężenie – poza czekaniem – nie zdradzają się z nim. Stale panuje chłód, dzień za dniem, przesywające zimno i nigdy nie ma wystarczająco dużo drewna opałowego, choć kobiety codziennie

wychodzą na poszukiwanie chrustu. Mówią ci, że bierzecie wroga głodem, ale ty jesteś tak samo głodny. Pada. Niektórzy się wymykają, próbują z żonami i dziećmi wrócić do domu, ale prawdziwi wojownicy, zaciężne oddziały, patrolują drogi biegnące na wschód. Gdy spotkają dezertera, zaciągają go z powrotem do obozu i jeśli ma szczęście, chłoszczą do krwi. Jego żona, o ile jest młoda, znika w namiotach wojowników. Myślisz tylko o domu, nawet jeśli jest on ubogi, a praca w polu ciężka, lepsze to niż te niekończące się głód i zimno. Obiecywano ci zwycięstwo, a dostałeś niedolę.

Któregoś dnia, pochmurnego wieczoru, o zachodzie słońca pojawiają się jeźdźcy. Widzisz rosłe konie niosące okrytych kolczugami mężczyzn z długimi włóczniami, ostrymi mieczami, w hełmach i z tarczami ozdobionymi wilczym łbem. Przybysze wrzeszczą, ciężkie kopyta wierzchowców głośno uderzają o pokrytą gnojem ziemię, twoje dzieci krzyczą, kobiety się kulą, a najjaśniejszy tego zimowego popołudnia nie jest błysk ostrza ani srebrne hełmy czy złote naszyjniki napastników, lecz krew. Jasna, nieoczekiwana krew.

Nic dziwnego, że wpadli w panikę.

Gnaliśmy ich jak owce. Rozkazałem moim ludziom oszczędzać kobiety i dzieci, a nawet większość mężczyzn, bo nie chciałem, żeby moi jeźdźcy się zatrzymywali. Chciałem, żeby wrogowie poruszali się, stale byli w ruchu. Zatrzymując się, dawaliśmy im czas na znalezienie broni, tarcz i przygotowanie się do obrony. Lepiej było galopować między szalasami, żeby odegnać wrogów od stosu tarcz, włóczni, sierpów i toporów. Rozkazałem swoim

ludziom zadawać ciosy i bez zatrzymywania się mknąć dalej. Przybyliśmy przynieść chaos, a nie śmierć. Jeszcze nie. Śmierć miała nadejść później.

A zatem pędziliśmy wkoło obozu z włócznieami w dłoniach, na naszych ogromnych rumakach wyrzucających kopytami grudy błota. Jeśli ktoś stawiał opór, ginął. Jeśli biegł – sprawialiśmy, że biegł szybciej. Zobaczyłem, że Folbald, potężny Fryz, nadział na włócznie płonące polano z ogniska i wrzucił je do szałas, a pozostali moi wojownicy poszli w jego ślady.

– Panie! – krzyknął do mnie Finan, wskazując na południe. – Panie!

Odwrociłem się i ujrzałem ludzi uciekających z namiotów w stronę niestarannie wzniesionej barykady naprzeciw bramy wschodniej. To byli prawdziwi wojownicy, straż przyboczna.

– Roriku! – wrzasnąłem. – Roriku!

– Panie!

Chłopak jechał w odległości dwudziestu kroków ode mnie i gotował się do ścigania uzbrojonych w topory trzech mężczyzn w skórzanych kaftanach.

– Zadmij w róg!

Skierował konia w moją stronę, ściągnął wodze i wymachując długą włócznieą, próbował sięgnąć rogu wiszącego u jego boku na długim sznurze. Jeden z mężczyzn, widząc, że Rorik odwrócił się plecami, ruszył w jego stronę z uniesionym toporem. Otworzyłem usta, żeby ostrzec chłopca, ale Finan zawrócił konia i spiął go ostrogami. Na ten widok napastnik rzucił się do ucieczki. Złodziej Dusz błysnął, w ostrzu miecza odbiły się płomienie i głowa wroga

potoczyła się w dal. Jego ciało rozciągnęło się na ziemi, ale głowa odbiła się od gruntu, po czym wpadła w ognisko, gdzie tłuszczy, który mężczyzna wtarł we włosy, wycierając dłonie, zajął się gwałtownym i jasnym ogniem.

– Nieźle jak na dziadka – powiedziałem.

– Bękarty się nie liczą – odrzekł Finan.

Rorik zadał w róg, a później ponownie i nie przestawał grać. Ten ponury, natarczywy, głośny dźwięk sprowadził moich konnych.

– A teraz za mną! – krzyknąłem.

Zraniliśmy bestię, teraz trzeba było uciąć jej łeb.

Większość uciekających przed spustoszeniem, które sialiśmy, pobiegła na południe, w stronę okazałych namiotów, które zapewne zajmowali wojownicy Cynlaefa i tam teraz właśnie zmierzaliśmy w zwartej grupie, kolano przy kolanie, z opuszczonymi włóczniami. Nasz szereg rozstępował się tylko po to, żeby ominąć ogniska tryskające w ciemność iskrami. Przyspieszyliśmy, dotarłszy do polany dzielącej nędzne szałas od namiotów. Pośród namiotów pojawiło się więcej ludzi, jeden człowiek trzymał sztandar, który rozwinął się, gdy ów biegł w stronę barykady wzniesionej, by uniemożliwić obrońcom miasta ucieczkę przez wschodnią bramę. Choć była to prymitywna konstrukcja z przewróconych wozów, a nawet plugu, stanowiła poważną przeszkodę. Dostrzegłem, że chorąży niesie flagę Aethelflaed – nedorzeczną gęś trzymającą krzyż i miecz.

Musiałem się roześmiać, bo Finan, przekrzykując tętent kopyt uderzających o darń, zapytał:

– Co cię tak śmieszy?

– To jest istne szaleństwo – odparłem, mając na myśli zbrojne występowanie przeciwko oddziałom niosącym sztandar, którego ochronie poświęciłem całe dorosłe życie.

– To jest szaleństwo! Walczymy po stronie Edwarda!

– Przeznaczenie jest nieodgadnione.

– Czy będzie ci chociaż wdzięczny? – Finan zadał to samo pytanie co moja córka.

– Ta rodzina nigdy nie służyła z wdzięczności – odrzekłem. – Aethelflaed była wyjątkiem.

– Może więc Edward weźmie cię do swojego łóża – zażartował Finan, a później nie było już czasu na rozmowę, bo zobaczyłem, że chorąży nagle skręcił. Zamiast biec do barykady, zawrócił na południe w kierunku areny, wiodąc za sobą większość wojowników ze straży przybocznej. I to wydało mi się dziwne. Przeciwnicy niemal dorównywali nam pod względem liczebności. Mogli ustawić mur tarcz, wykorzystując barykadę jako osłonę tyłów, pokonanie ich wcale nie byłoby łatwym zadaniem. Oddział konny nie jest w stanie przeprowadzić szarży na dobrze uformowany mur tarcz. Nasze ogiery wyminęłyby przeszkodę, zamiast nań natrzeć, musielibyśmy więc zejść z koni, ustawić własny mur tarcz i stanąć do walki. A stacjonujące na północ od twierdzy oddziały przeciwnika, które jeszcze nie przeszły do ataku, mogły najechać nas od tyłu. A mimo to wróg uciekał, podążając za chorążym.

I wtedy zrozumiałem.

Chodziło o rzymską arenę.

Wcześniej zdziwił mnie brak koni w obozie buntowników, teraz zorientowałem się, że wierzchowce musiano



trzymać na arenie, a nie w jednej z otoczonych wysokim żywopłotem zagród na wschodzie. Była to rozległa budowla położona od południowo-wschodniej strony miasta, w pobliżu rzeki. Miała kształt imponującego kamiennego kręgu, wewnątrz którego znajdowały się ławy otaczające scenę, gdzie Rzymianie wystawiali okrutne przedstawienia z udziałem wojowników i przerażających bestii. Otoczona kamiennym murem centralna część areny była bezpiecznym, a nawet idealnym miejscem dla koni. Kierowaliśmy się w stronę namiotów z nadzieją na wzięcie do niewoli przywódców buntu, ale zmieniłem zdanie i krzyknąłem do swoich ludzi, żeby pognali do antycznej areny.

Rzymianie zadziwiali mnie, kiedy byłem dzieckiem. Ojciec Beocca, mój wychowawca, który próbował uczynić ze mnie małego, dobrego chrześcijanina, wynosił pod niebiosa Rzym za to, że stał się domem ojca świętego, czyli papieża. Rzymianie – mówił – przynieśli Ewangelię do Brytanii, a Konstantyn, pierwszy chrześcijanin władający Rzymem, ogłosił się cesarzem w naszej Northumbrii. Żaden z tych faktów nie napawał mnie szczególną sympatią do Rzymu i Rzymian, ale to się zmieniło, kiedy miałem siedem albo osiem lat i Beocca pokazał mi arenę w Eoferwicu. Patrzyłem ze zdumieniem na rzędy kamiennych ław wznoszących się dookoła mnie ku zewnętrznym ścianom, z których ludzie za pomocą młotów i łomów pozyskiwali kamienne bloki do wznoszenia nowych budynków w rozrastającym się mieście. Ławy oplatał bluszcz, ze szczelin między kamieniami wyrastały młode drzewka, a samą arenę porastała gęsta trawa.

– To miejsce – powiedział szeptem ojciec Beocca – jest święte.

– Bo Jezus tu był? – zapytałem.

Beocca trzepnął mnie po głowie.

– Nie bądź głupi, chłopcze, nasz Pan nigdy nie opuścił Ziemi Świętej.

– Mówiłeś kiedyś, że wyjechał do Egiptu?

Znów mnie trzepnął, tym razem, żeby ukryć zakłopotanie z powodu swojej pomyłki. W istocie był dobrym człowiekiem, kochałem go, mimo że uwielbiałem się z niego naśmiewać, a że był brzydki i kulawy, przychodziło mi to łatwo. Dzieci bywają bezlitosne. Z czasem uznałem uczciwość i siłę swojego nauczyciela, a król Alfred, który nie był głupi, bardzo wysoko go cenił.

– Nie, chłopcze – ciągnął Beocca tego dnia w Eoferwicu – to miejsce jest święte, gdyż chrześcijanie cierpieli tu za wiarę.

– Pachnie mi to dobrą historią. Jak to cierpieli, ojczcze? – dopytywałem się z zainteresowaniem.

– Skazywano ich na koszmarną, prawdziwie koszmarną śmierć!

– Jaką, ojczcze? – moja ekscytacja jeszcze wzrosła.

– Niektórych rzucano dzikim zwierzętom na pożarcie, innych krzyżowano jak naszego Pana, jeszcze innych palono żywcem. Kobiety, mężczyźni, nawet dzieci. To miejsce zostało uświęcone ich cierpieniem. – Przeżegnał się. – Rzymianie byli okrutni do czasu, aż oświeciło ich światło Chrystusa.

– I wtedy przestali być okrutni, ojczcze?

– Zostali chrześcijanami – odparł wymijająco.

– To dlatego utracili te ziemie.

Znów trzepnął mnie po głowie, choć lekko i bez złości. Zasiał jednak we mnie ziarno. Rzymianie. Gdy byłem dzieckiem, ich potęga robiła na mnie wrażenie. Przybyli z tak daleka, a jednak podbili naszą wyspę. Wtedy jeszcze nie była nasza, nie zmienia to jednak faktu, że była odległa. Byli zwycięzcami i wojownikami, dziecku jawili się jako bohaterowie, a wzdarda Beokki sprawiła tylko, że jeszcze bardziej ich podziwiałem. Wówczas – przed śmiercią ojca i zaadoptowaniem mnie przez Ragnara Starszego – wydawało mi się, że jestem chrześcijaninem, ale nigdy nie fantazjowałem o staniu się chrześcijańskim bohaterem i mierzeniu się z dzikimi zwierzętami w popadającym w ruinę cyrku w Eoferwicu. Roilem sobie natomiast, że walczę na arenie, i widziałem oczami wyobraźni, jak stawiam stopę na zakrwawionej piersi pokonanego wojownika, a wielotysięczna publiczność wiwatuje na moją cześć. Byłem tylko dzieciakiem.

Dziś, stary i z posiwiałą brodą, nadal podziwiam Rzymian. Jakże ich nie podziwiać? Nie potrafimy wznosić aren ani takich murów obronnych, jakie otaczają Ceaster. Nasze drogi to pokryte błotem trakty, a ich były obramowane kamieniami i proste jak strzała. Oni budowali świątynie z marmuru, my kościoły z drewna. Nasze podłogi pokrywają klepisko i maty z sitowia, a ich cudowne, kunsztowne mozaiki. Oni pozostawili na tych ziemiach wspaniałości, a my – przejąwszy je – możemy tylko patrzeć na ich rujnacę albo łątać je plecionkami z prętów i strzechą. To prawda, że byli okrutni, ale my nie jesteśmy lepsi. Życie jest okrutne.

Nagle dotarły do mnie krzyki zza murów miejskich. Spojrzałem w prawo i zobaczyłem biegnących po obwarowaniach wojowników w hełmach. Ze wszystkich sił starali się dotrzymać nam kroku, jednocześnie nas pozdrawiając. Wydawało mi się, że słyszę kobiece głosy, ale byłem w stanie dostrzec tylko mężczyzn. Jeden z nich wymachiwał nad głową włócznią, jakby zachęcał nas do zabijania. Podniosłem włócznię w jego kierunku, a on żywo zareagował. Do jego hełmu przywiązane były białe i czerwone wstążki. Coś do mnie krzychał, ale byłem za daleko, żeby rozpoznać poszczególne słowa, zrozumiałem tylko, że się cieszy.

Nic dziwnego, że garnizon ogarnęła radość. Przeciwnik się zламаł i odstąpił od oblężenia, mimo że większość oddziałów Cynlaefa nadal przebywała w obozie. Ci ludzie jednak nie wydawali się chętni do walki. Rzucili się do ucieczki albo pochowali w szalaszach. Tylko oddziały straży przybocznej zamierzały stawić nam czoło i teraz biegły ku antycznemu cyrkowi, który jako schronienie miał raczej wątpliwą wartość. Dopadliśmy kilku maruderów i zaatakowaliśmy ich od tyłu włóczniami, kiedy parli na południe, podczas gdy inni, mniej twardzi, rzucili broń i ukłękli w żalosnym akcie podania się. Zapadał już zmierzch. Czerwone kamienie, z których wzniesiono arenę, odbijały płomień najbliższego ogniska, przez co wydawało się, że antyczne mury są skąpane we krwi. W pobliżu bramy cyrkowej ściągnąłem wodze Tintrega, a moi rozradowani i przepelnieni dumą ludzie stawali obok mnie.

– Jest tylko jedno wejście? – zapytał Finan.

– O ile dobrze pamiętam, tak, ale dla pewności wyślij kilku ludzi na tył.

Na arenę prowadził długi sklepiony tunel biegnący pod rzędami siedzeń, a w blednym świetle dostrzegłem ludzi pchających wóz, żeby zabarykadować jego wylot. Spoglądali na nas z lękiem, ale nie uczyniłem nic, żeby ich zaatakować. Byli głupcami i jako głupcom pisana była im klęska, sami się zapędzili w kozi róg. Nie myliłem się, arena nie miała drugiego wejścia, wszystkie pozostałe prowadziły na widownię. Ludzie Cynlaefa trzymali konie na arenie i to miało sens, ale kiedy w panice pobiegli do swoich wierzchowców, znaleźli się w kamiennym kręgu z tylko jednym wyjściem, którego teraz strzegli moi ludzie.

Vidarr Leifson, jeden z moich norweskich wojowników, objechał z kilkoma jeźdźcami całą arenę i wrócił, żeby potwierdzić, że na arenę prowadzi tylko jedno wejście.

– Co więc robimy, panie? – zapytał, obracając się w siodle, żeby spojrzeć na tunel. Jego oddech tworzył chmurę w chłodnym wieczornym powietrzu.

– Pozwolimy im zgnić.

– Czy dadzą radę wspiąć się na widownię? – zapytał Berg.

– Zapewne.

Mur oddzielający arenę od siedzisk był nieco wyższy od przeciętnego człowieka, żeby uniemożliwić dzikim zwierzętom wskoczenie na widownię i pokieszowanie widzów. Nasi wrogowie mogli więc wspiąć się na ławy i próbować wykorzystać schody do ucieczki, ale to oznaczałoby porzucenie ich bezcennych wierzchowców, a opuściwszy budowlę, musieliby jeszcze pokonać moich ludzi.

– Zabarykadujcie wszystkie wyjścia i rozpalcie ognisko przed wszystkim schodami – rozkazałem.

Barykady uniemożliwiły przeciwnikowi szybką ucieczkę, a ogniska zapewniły ciepło wartownikom.

– Skąd weźmiemy chrust? – zapytał Godric, młody Sas, który wcześniej był moim służącym.

– Z barykady, głupcze – odparł Finan, wskazując ustawiony przez oblegających prowizoryczny mur, który strzegł drogi do bramy wschodniej.

I wtedy, w ostatnich promieniach dnia, ujrzałem jeźdźców wyjeżdżających z miasta. Brama wschodnia rozwarła się i kilkunastu konnych rzędem pokonało wąską przestrzeń między fosą a porzuconą barykadą.

– Zbudujcie te zapory – rozkazałem swoim ludziom, zawróciłem zmęczonego Tintrega i ruszyłem na spotkanie ocalonym przez nas mieszkańcom miasta.

Spotkaliśmy się przy głębokiej fosie miejskiej. Zatrzymałem się tam i obserwowałem nadjeżdżających. Na czele znajdował się wysoki młody mężczyzna w kolczudze i wspaniałym hełmie ozdobionym złotem, odbijającym czerwone płomienie odległych ognisk. Osłony hełmu miał rozpięte, dzięki czemu zauważyłem, że odkąd ostatni raz go widziałem, zapuścił brodę i ten czarny krótko przystrzyżony zarost sprawiał, że wyglądał poważniej. Wiedziałem, że ma dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć lat – nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy się urodził – teraz znajdował się w kwiecie wieku, przystojny i pewny siebie. Należał też do gorliwych chrześcijan, mimo moich wysiłków, żeby mu to wyperswadować, miał więc zawieszony na szyi duży złoty krzyż, który opadał na połyskującą kolczugę. Złoto zdobiło też pochwę jego miecza, uzdę wierzchowca, broszę spinającą peleyrę, a cienka złota obręcz otaczała jego helm. Zatrzymał się

wystarczająco blisko, żeby wyciągnąć rękę i poklepać Tin-trega po szyi, a ja zobaczyłem dwa złote pierścienie na jego okrytej rękawiczką z cienkiej skóry dłoni. Uśmiechnął się.

– Jesteś ostatnią osobą, jakiej się spodziewałem – powiedział.

Zakląłem. To było dobre przekleństwo, krótkie i siarczyste.

– Czy to właściwy sposób pozdrawiania księcia? – zapytał.

– Jestem winien Finanowi dwa szylingi – wyjaśniłem. Właśnie bowiem zaczął padać śnieg.

Jednym z przywilejów wieku jest przebywanie w ogrzewanej ogniem halli, gdy w nocy pada śnieg i strażnicy trzęsą się z zimna, wypatrując wrogów starających się ominąć zasadzkę, którą na nich zastawiono. Tyle że ja już nie byłem nawet pewien, kto właściwie wpadł w czyją pułapkę.

– Nie posłałem ojca Swithreda po pomoc – stwierdził Aethelstan. – Twój mnich kłamał. A ojciec Swithred, Bogu dzięki, cieszy się dobrym zdrowiem.

Książę Aethelstan był najstarszym synem króla Edwarda i urodziwej kobiety z Kentu, córki biskupa. Nieszczęsna dziewczyna zmarła, wydając na świat chłopca i jego siostrę bliźniaczkę Eadgyth. Po jej śmierci Edward poślubił zachodniosaską kobietę i spłodził drugiego syna, przez co Aethelstan stał się kłopotem. Był najstarszym dziedzicem króla, aethelingiem, ale miał młodszego przyrodniego brata, któremu mściwa macocha życzyła śmierci, bo stał między jej synem a tronem Wessexu. Dlatego ze swoimi

poplecznikami rozpuściła plotkę, że pasierb jest bękartem, gdyż król nigdy nie poślubił jego matki. W rzeczywistości zawarli małżeństwo, ale w sekrecie, bo jej ojciec nie godził się na ślub. W ciągu lat pogłoskę ubarwiono i zaczęto mówić, że matka Aethelstana była córką pasterza, nisko urodzoną dziewczką, której żaden władca by nie poślubił. I to łgarstwo znalazło posłuch, bo prawda zawsze jest słabsza od wypowiedzanego z pasją kłamstwa.

– Naprawdę – ciągnął Aethelstan. – Nie potrzebowaliśmy wsparcia i o nie nie prosiłem.

Przez chwilę wpatrywałem się w niego w milczeniu. Kochałem Aethelstana jak syna. Przez lata chroniłem go, walczyłem w jego imieniu, uczyłem go wojennego rzemiosła, a kiedy usłyszałem od brata Osrica, że jest oblegany i przyparty do muru, ruszyłem im na ratunek. Złożyłem przysięgę, że będę go chronił. I oto znalazłem się w przestronnej rzymskiej halli, gdzie właśnie wyjawił, że nie potrzebuje mojej pomocy.

– Nie posłałeś do mnie ojca Swithreda? – upewniłem się.

Palące się polano pękło w kominku i iskra spadła na matę z sitowia. Zgasilem ją nogą.

– Oczywiście, że nie! Jest tu. – Aethelstan wskazał drugi kraniec sali, gdzie wysoki ksiądz o surowym obliczu przyglądał mi się podejrzliwie.

– Poprosiłem arcybiskupa Athelma, żeby wyznaczył go na biskupa Ceasteru.

– I nie wysyłałeś go z miasta?

– Oczywiście, że nie! Nie było takiej potrzeby.

Spojrzałem na Finana, który tylko wzruszył ramionami. Zerwał się wiatr, kierując unoszący się przez dziurę



w dachu dym z powrotem do sali, która w przeszłości stanowiła część domu rzymskiego dowódcy. Dach budowli wykonany był z solidnych belek pokrytych dachówkami. Wiele z nich się zachowało, choć Sasi musieli zrobić dziurę, przez którą ulatywał dym. Teraz wzmagający się wiatr wepchnął dym do wnętrza budowli, i spowił nim poczerniałe krokwie. Przez otwór wpadały płatki śniegu, niektóre nawet roztopiły się dopiero na stole, przy którym jedliśmy.

– Więc nie wzywałeś pomocy? – po raz kolejny zapytałem Aethelstana.

– Jak często mam ci to powtarzać? – odparł, popychając w moją stronę dzban wina. – Poza tym gdybym potrzebował wsparcia, dlaczego miałbym posyłać po ciebie, kiedy wojska mojego ojca są bliżej? I tak byś mi nie pomógł.

– Dlaczego miałbym ci odmówić pomocy? – burknąłem do niego. – Przysiągłem, że będę cię bronić.

– Przecież zamieszki w Mercji są na rękę Northumbrii, czyż nie?

Przytaknąłem niechętnie.

– To prawda.

– Ponieważ, kiedy w Mercji panuje niezgoda, nie możemy was zaatakować – ciągnął Aethelstan.

– Zamierzasz nas zaatakować, książę? – zapytał Finan. Aethelstan się uśmiechnął.

– Oczywiście, że tak. Northumbrią włada poganin, Norweg...

– I mój zięć – przerwałem mu szorstko.

– ... a przeznaczeniem Sasów – kontynuował Aethelstan, nie zważając na moje słowa – jest zjednoczenie się

pod rządami jednego władcy i oddawanie czci jednemu Bogu.

- Twojemu bogu - warknąłem.

- Jest tylko jeden Bóg - odparł cicho.

Wszystko, co mówił, miało sens - poza tymi bzdurami o jedynym bogu - a to oznaczało, że bez powodu ściągnięto mnie na drugi kraniec Brytanii.

- Powinienem pozwolić ci tu zgnić - burknąłem.

- Ale tego nie zrobiłeś.

- Twój dziadek zawsze mówił, że jestem głupcem.

- Mój dziadek rzadko się mylił - odpowiedział Aethelstan z uśmiechem.

Mówiliśmy o królu Alfredzie.

Wstałem i podszedłem do drzwi. Otworzyłem wrota i tylko spojrzałem na poświętę ognisk za wschodnim murem. Luna pochodziła z obozu, gdzie ludzie Cynlaefa schronili się przed śniegiem zacinającym z północy. Ogień w metalowych koszach płonął na murach, w miejscach, gdzie otuleni płaszczami strażnicy obserwowali przerażonych wrogów. W jaśniejszym świetle dwóch płonących pochodni tuż za drzwiami halli ujrzałem świeże zasy śniegu przy murach domów.

A więc brat Osric kłamał. Wzięliśmy klechę ze sobą na południe, ale znużyło mnie jego nieustanne narzekanie na chłód i obtarcia od siodła, więc pozwoliłem mu nas opuścić w Mameceasterze, gdzie - jak twierdził - istniał kościół, który go ugości. Powinienem był zabić drania. Nagle wzdrygnąłem się pod wpływem nocnego chłodu.

– Roriku! – krzyknąłem. – Przynieś mi płaszcz!

Brat Osric kłamał. Mnich twierdził, że Aethelstan ma mniej niż stu wojowników, tymczasem miał ich dwa razy więcej, co nadal stanowiło bardzo niewielki garnizon jak na miasto wielkości Ceasteru, ale wystarczająco liczebny, żeby odeprzeć tak źle zorganizowane oblężenie, jakie przeprowadził Cynlaef. Osric powiedział, że garnizon głoduje, w rzeczywistości jednak magazyny w mieście były do połowy wypełnione zeszłorocznymi plonami. Jego kłamstwo zwabiło mnie do Ceasteru. Pytanie brzmiało: po co?

– Twój płaszcz, panie. – Usłyszałem kpiący głos, odwróciłem się i zobaczyłem księcia Aethelstana, który osobiście przyniósł mi ciężką pelerynę z futra. Sam również był szczelnie opatulony. Skinięciem głowy dał znak jednemu z wartowników, żeby zamknął za nami wrota, po czym stanął obok mnie i patrzył na łagodnie, bezustannie padającą śnieg.

– Nie wzywałem cię – powiedział, poprawiając płaszcz na ramionach – ale dziękuję, że przyjechałeś.

– A zatem kto wysłał do mnie mnicha? – zapytałem.

– Może nikt.

– Nikt?

Aethelstan wzruszył ramionami.

– Być może zakonnik dowiedział się o oblężeniu i chciał po prostu wezwać pomoc, wiedział, że będziesz podejrzliwy, więc wymyślił tę historyjkę z ojcem Swithredem.

Pokręciłem głową.

– On nie był taki przebiegły. Poza tym naprawdę się bał.

– Budzisz strach wśród wielu chrześcijan – zauważył oschle Aethelstan.

Wpatrywałem się w płatki śniegu wirujące wokół narożnika domu stojącego naprzeciwko.

– Powinienem pojechać do Hwite – rzekłem.

– Do Hwite? Po co?

– Bo ten mnich przyjechał z tamtejszego klasztoru.

– W Hwite nie ma klasztoru – rzekł Aethelstan. – Miałem go ufundować, ale... – Jego głos zamarł.

– Drań kłamał – stwierdziłem mściwie. – Powinienem był się domyślić!

– Domyślić? Jak?

– Powiedział, że ojciec Swithred pieszo udał się stąd na południe. Jakim cudem? Przecież most został zniszczony. I dlaczego właśnie Swithred? Ty posłałbyś kogoś młodszego.

Aethelstan drgnął.

– Dlaczego mnich miałby kłamać? Może po prostu chciał wezwać pomoc.

– Wezwać pomoc – powtórzyłem za nim wzgardliwie. – Nie, drań chciał, żebym opuścił Bebbanburg.

– Ktoś zamierza zaatakować twierdzę.

– Nie sądzę. Bebbanburg nie padnie.

Zostawiłem dowództwo synowi, służyło mu dwa razy więcej wojowników, niż potrzebował, żeby utrzymać tę posępną, groźną fortecę.

– A zatem ktoś chciał, żebyś opuścił Bebbanburg, bo dopóki tam pozostawałeś, dopóty nie mógł cię osiągnąć – stwierdził stanowczym tonem Aethelstan. – A teraz? Teraz może.

– Dlaczego więc pozwolił mi dotrzeć aż tu? – zapytałem. – Skoro chciał mnie zabić, czemu czekał, aż znalazłem się wśród przyjaciół?

– Nie wiem – odparł.

Ja też nie wiedziałem. Było jasne, że mnich mnie okłamał, ale nie potrafiłem odgadnąć w jakim celu. Aethelstan zaczął przytupywać, a potem dał mi znak, żebym za nim poszedł na drugą stronę ulicy. Zostawiliśmy pierwsze ślady na świeżym śniegu.

– Mimo wszystko... – ciągnął – cieszę się, że przyjechałeś.

– Niepotrzebnie to zrobiłem.

– Nie groziło nam prawdziwe niebezpieczeństwo – przyznał mi rację. – A mój ojciec wysłałby posiłki na wiosnę.

– Doprawdy?

Nie zwrócił uwagi na powątpiewanie wyraźne pobrzmiewające w moim głosie.

– W Wessexie wszystko się zmieniło – powiedział cicho.

– Nowa kobieta? – zapytałem uszczypliwie, mając na myśli nową żonę Edwarda.

– Bratanica mojej matki.

Tego nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że król Edward odesłał swoją drugą żonę do klasztoru i poślubił młodszą kobietę z Kentu. Edward twierdził, że jest dobrym chrześcijaninem, a przecież oni mówią, iż małżeństwo jest na całe życie, jednakże duża ilość złota albo nadanie ziemskie bez wątpienia przekonały Kościół, że jest to błędna doktryna i władca może oddalić jedną kobietę, żeby poślubić drugą.

– A zatem wróciłeś do łask, książę? – zapytałem. – Znowu jesteś dziedzicem?

Pokręcił głową. Świeży śnieg skrzypiał nam pod nogami. Szliśmy aleją, która prowadziła do bramy wschodniej. Za nami podążało dwóch strażników, byli jednak zbyt daleko, żeby słyszeć naszą rozmowę.

– Doszły mnie słuchy, że ojciec nadal darzy sympatią Aelfwearda.

– Twojego rywala – rzekłem z goryczą.

Gardziłem młodszym synem Edwarda, który był wiecz-  
nie nadąsanym wypierdkiem łasicy.

– Mojego przyrodniego brata – odparł z wyrzutem Aethel-  
stan. – Ja go kocham.

– Doprawdy?

Przez chwilę milczał. Wchodziliśmy po rzymskich scho-  
dach na wschodni mur, gdzie wartownicy grzali się przy  
ogniskach w metalowych koszach. Zatrzymaliśmy się na  
górze i popatrzyliśmy na obozowisko pokonanego wroga.

– Naprawdę kochasz tego gnojka? – zapytałem.

– Przykazanie mówi, żebyśmy się wzajemnie miłowali.

– Aelfweard jest podły – zauważyłem.

– Może być dobrym władcą – odrzekł cicho.

– A ja zostanę następnym biskupem Contwaraburga.

– To byłoby interesujące – odparł z rozbawieniem.

Wiedziałem, że gardzi bratem tak samo jak ja, ale mówi  
to, co każe mu rodowa solidarność.

– Matka Aelfwearda – ciągnął – wypadła z łask, ale jej ród  
nadal jest możny, potężny i przysiągł wierność tej nowej  
kobiecie.

– Naprawdę?

– Wuj Aelfwearda został ealdormanem. Wziął stronę  
Edwarda i palcem nie kiwnął, żeby pomóc siostrze.

– Wuj Aelfweard własną matkę by stręczył, żeby obsadzić go na tronie.

– Niewykluczone – odrzekł cicho Aethelstan.

Ciarki przeszły mi po plecach i nie było to zimno. Wzdrynąłem się, bo w tych słowach wyczułem zasadzkę. Nadal nie wiedziałem, dlaczego zwabiono mnie na drugi kraniec Brytanii, ale wydawało mi się, że wiem, kto zastawił pułapkę.

– Jestem starym głupcem – powiedziałem.

– A jutro wszędzie słońce.

– Książę! Książę! – Pełen ekscytacji głos przerwał nam rozmowę. Niski wojownik biegł wzdłuż muru, żeby nas powitać. Mężczyzna był postury dziecka, ale nosił kolczugę, miał w rękę włócznię, a jego hełm zdobiły czerwona i biała wstążka.

– Siostró Sunngifu – odezwał się czule Aethelstan, kiedy niewielka postać uklękła przed nim. Dotknął jej hełmu dłonią w rękawiczce, a ona uśmiechnęła się do niego z uwielbieniem. – To jest lord Uhtred z Bebbanburga – przedstawił mnie. – A to jest siostra Sunngifu – zwrócił się do mnie. – Powołała oddział pięćdziesięciu kobiet, które stanęły na straży, żeby dać moim wojownikom możliwość odpoczynku i zmylić wrogów co do naszej liczebności. Podstęp się udał.

Sunngifu spojrzała na mnie z olśniewającym uśmiechem.

– Znam lorda Uhtreda, książę – powiedziała.

– Oczywiście, że tak. Teraz sobie przypominam, że mi o tym mówiłaś.

Sunngifu uśmiechała się, jakby pół życia czekała, żeby mnie powitać. Dostrzegłem, że pod kolczugą i grubym płaszczem nosi szary mnisi habit. Wyciągnąłem rękę

i delikatnie uniosłem zwieńczony wstążkami hełm – tylko na tyle, żeby ujrzeć jej czoło i niewielkie czerwone znamię w kształcie jabłka, jedyną skazę, jaką miała ta przepiękna kobieta. Patrzyła na mnie z rozbawieniem.

– Miło cię znów spotkać, panie – odezwała się unieżenie.

– Jak się miewasz, Mus? – odparłem.

Mały wojownik to była Mus, Sunngifu, siostra Gomer, wdowa po biskupie, dziwka i awanturnica.

Niech diabli wezmą zasadzkę, nagle poczułem się szczęśliwy, że znalazłem się w Ceasterze.